

Supły małżeńskie

Na scenie wszystko zaczyna się w sądzie. Nie wiedzieć czemu w Sądzie Najwyższym (który w dodatku powołuje się na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego). Takie mrugnięcie do widzów, aluzja do tu i teraz... wprowadzona trochę na siłę. Sąd Najwyższy orzeka o alimentach w konkretnej sprawie? To się dzieje w Polsce? To czemu bohaterowie nazywają się Giada, Vito, Paola czy Delia? Ale to drobiazg, podobnie jak pewne niejasności wynikające z konieczności skrócenia tekstu (dlaczego Sara chodzi w dresie i wieczorem wraca z pracy spocona, skoro nie dowiadujemy się, że prowadzi zajęcia z jogi?).

Poważniejszym problemem jest tempo spektaklu. Rozumiem, że Wojciech Malajkat chciał elementy komediowe zrównoważyć poważną refleksją (a może nawet zadumą) nad współczesnymi związkami. Rozumiem, że w życiu warto pomyśleć, zanim się coś powie (albo napisze). Ale tu przerwy między wypowiedzianymi kwestiami momentami przypominały Becketta. Pewna ospałość zaciążyła nawet nad scenami erotycznymi. Nie ma w przedstawionych historiach życia, temperamentu (nawet polskiego, nie mówiąc o włoskim), mimo przekleństw mających dodać scenom autentyzmu. Najbardziej wierzymy postaciom, u których tę powolność tłumaczy ich stan - spodziewającej się dziecka Giodzie (Marta Jarczewska) czy starszemu, zrezygnowanemu Emiliowi (Jan Wojciech Poradowski). Vito (Sebastian Jasnoch) dobrze wypada w scenach z synem (udana rola dziecięcego aktora, niewymienionego niestety w programie), gorzej w scenach z żoną, a najgorzej z nową partnerką - co jest w pewnym sensie optymistyczne.

No właśnie - skupmy się na pozytywach. Przede wszystkim temat - nośny, obchodzący (prawie) wszystkich, sformułowany w niebanalny sposób pytaniem: Czy gdyby twoje małżeństwo okazało się nieważne, wzięłbyś ślub jeszcze raz czy skorzystał z nieoczekiwanej wolności? Taka „związkowa” chwila szczerości, może nawet początek zmiany na lepsze. Po drugie dobra scenografia Wojciecha Stefaniaka - rozpisująca przestrzeń sceniczną na cztery poziomy: ekran do projekcji, niżej antresola, jeszcze niżej dwupoziomowa przestrzeń z podestami, schodkami i meblami tworzącymi potrzebne akurat tło akcji. Dzięki temu możemy śledzić dziejące się w różnych miejscach wydarzenia bez zmian dekoracji. Skomplikowany w związku z tym ruch sceniczny został precyzyjnie opracowany i funkcjonuje bez zarzutu. Znakomita jest niema scena, w której z tej bogatej przestrzeni światłem wydobywane są obrazki z życia poszczególnych bohaterów - to po trzecie. Po czwarte - zabawna sekwencja filmowa kończąca przedstawienie wspomnieniem ślubów udzielonych przez fałszywego księdza (w tej roli sam Wojciech Malajkat), dodatkowo wzbogacona migawkami making off z łódzkiego Kościoła Środowisk Twórczych. Po piąte w końcu - wreszcie spektakl, w którym faceci nie są pokazani jako opresyjni dranie bez sumienia. Malajkat, a wcześniej także Paolo Costella, zauważyli, że mężowie też się czasem starają, ojcowie też mają instynkt opiekuńczy, a za zdrady małżeńskie odpowiadają także kobiety (nie te zdradzane, ale te, z którymi się zdradza).

Jak zatem wypada ostatecznie bilans plusów i minusów spektaklu? Czy gdyby premiera okazała się z przyczyn formalnych nieważna, jeszcze raz dałbym się skusić? Tak, ten spektakl ma potencjał i w kolejnych przebiegach na pewno będzie coraz lepszy.

Piotr Grobliński

„Na całe życie” Paola Costelli i Paola Genovese’a, przekład: Maria Trzoch. Adaptacja, reżyseria i opracowanie muzyczne - Wojciech Malajkat, scenografia i kostiumy - Wojciech

Stefaniak. Teatr Powszechny, prapremiera polska - 14 I 2023.